

GENERALISSIMUS

Dariusz Wilczak

GENERALISSIMUS



Zakład Narodowy
im. Ossolińskich – Wydawnictwo
Wrocław 2011

I

Dyrektoriat podlegał rządowi, nie podlegając mu zarazem. Nie mógł podlegać, ponieważ musiałby podlegać sam sobie. Nie będąc rządem stanowił jednak prawo, które wykonywał rząd. Dyrektoriat był więc czymś w rodzaju nadządu wykonującego polecenia rządu, czyli swoje własne polecenia. Tak naprawdę nikt dokładnie nie określił kompetencji Dyrektoriatu. Gdyby to zrobić, należałoby uznać zarówno rząd, jak i Dyrektoriat za jedną i tę samą instytucję, a tego nikt nie mógł zaakceptować. Akceptacja oznaczałaby przyznanie się do politycznej niekonsekwencji. A nawet do schizofrenii. Wprawdzie każda rewolucja ustanawia sobie tylko znane reguły i zasady, mimo to są granice, których nawet w czasie rewolucji nie powinno się przekraczać. Decyzje zapadały kolegialnie, na posiedzeniach egzekutywy, najczęściej w pięciosobowym składzie, ale głos ostateczny i przeważający za każdym razem należał do Generalissimusa. Jeśli on miał inne niż wszyscy zdanie, reszcie nie pozostawało nic innego jak przyjąć to zdanie. Kolegialność obrad Dyrektoriatu była więc racjonalną iluzją. Racjonalną o tyle, o ile uczestnicy egzekutywy deklarowali swoje pełne poparcie dla Generalissimusa.

Nie wiadomo już, kto pierwszy użył terminu Dyrektoriat, ani komu jako pierwszemu przyszło do głowy nazwać generała Generalissimusem. Jak w Rewolucji Francuskiej, także i ten Dyrektoriat nie działał dłużej niż kilka lat. Podobnie jak wtedy, gdy Konwent Narodowy przekształcił się w dwuizbowy parlament – Radę Starszych i Radę Pięciuset, także i tu Dyrektoriat miał swój udział w powołaniu całkiem nowej reprezentacji, o podobnych nazwach i prawie dokładnie tej

samej liczbie deputowanych. Jedyne, czego nie zrobiono, to uchwalenie Konstytucji, ale i na nią przyszedł później czas.

Zastanawiano się, czy tytuł Generalissimus nie urazi generała. Na wszelki wypadek posługiwano się tą nazwą tylko w wąskim gronie członków egzekutywy, zwracając uwagę, by tytuł nie doszedł do uszu Generalissimusa. Generalissimusowi był bowiem obcy kult jednostki i na każdym kroku powtarzał, że jest tylko jednym z wielu równych sobie, co nie było zresztą prawdą. Mówiąc Generalissimus, pamiętano, że identyczny tytuł nosił Aleksander Suworow, Czang Kaj-Szek, Francisco Franco, Józef Stalin, lecz także John Pershing i George Washington. Przede wszystkim jednak tytułem Generalissimus honorowano Henryka, ostatniego z francuskiej dynastii Walezjuszów, księcia Orleanu, a wkrótce pierwszego elekcyjnego króla Polski i króla Francji. Było to o tyle prorocze, że Generalissimusa, którego nie można było powołać na króla, wybrano jednak prezydentem.

Decyzje Dyrektoriatu przekazywano więc za każdym razem w dół. Wiązał się z tym pewien problem, gdyż egzekutywa musiała najpierw sama zejść w dół, żeby wykonać dopiero co ustanowione przez siebie na górze prawo. To, co miało usprawnić kierowanie, okazywało się w związku z tym sporą niedogodnością, bo po pierwsze proces schodzenia w dół musiał trwać jakiś czas, co w istotny sposób opóźniało wprowadzanie nowych praw, po drugie egzekutywa coraz częściej zastanawiała się, nie wyrażając jednak głośno swoich wątpliwości, czy aby Generalissimus na pewno jeszcze wie, co robi. Pewnie dlatego uznano, że to wszystko nie ma specjalnie sensu i w końcu postanowiono o rozwiązaniu Dyrektoriatu, a potem o rozwiązaniu starego państwa i powołaniu nowego, ponieważ stare już się zużyło.

II

Działo się to naturalnie za sprawą czarów: jak również za tą samą sprawą nikt się nie dziwił, że mały grenadier jest zawsze taki sam malutki i nie rośnie wcale...

Antoni Gawiński, Lolek grenadier

Pójdzie pan, panie Grzegorzu, przyniesie, zanieś, przywiezie, odwiezie, poda, odda, przekaze. Zrobi herbatę, posprząta, zamiecie, zadzwoni, zapisze, przepisze, umówi, odmówi, przywoła, odwoła, odprawi. Pan poprosi w moim imieniu, w moim imieniu przeprosi. Nie wie pan, generale, nigdy panu tego nie mówiłem, ale żona używa mojego drugiego imienia. Sam ją o to prosiłem. Rozumie pan dlaczego. Pan nawet nie wiedział, że moje drugie imię stało się pierwszym, a pierwsze tak naprawdę było tylko dla pana. Ja panu powiem, panie generale. Pan mnie nigdy nie traktował jak oficera. Proszę mi wybaczyć, ale przez te wszystkie lata byłem pana sługą. Czy można bardziej okazać posłuszeństwo i przywiązanie niż oddając swoje imię? Byłem sługą, nie będąc nim przecież. Nie byłem też sekretarzem ani adiutantem, żadnym z nich. Już bardziej lustrem, w którym mógł się pan przeglądać, gdy nachodziły pana wątpliwości. Tak się czułem. Jak chłopiec, potem dorosły człowiek, a teraz już dziad, na posyłki. Czy w ogóle kiedyś zwrócił się pan do mnie: panie poruczniku, kapitanie, majorze? No widzi pan. Tyle lat. Czy choć raz spytał pan, jak się czuje moja żona, co u moich dzieci? Wiedza o mojej rodzinie nie była panu potrzebna. A nawet jeśli rzeczywiście chciał pan się

czegoś dowiedzieć, to i tak zadowalały pana zdawkowe odpowiedzi: „dziękuję, dobrze”, „wszystko w porządku, panie generale”. Nie jestem nawet pewien, czy pan pamięta imię mojej żony. No właśnie.

A ja? Co ze mną? Ile razy zapytał mnie pan, co myślę? Co czuję? Bo ja przecież myślę. Ja mam uczucia. Znam wszystkie pana sekrety. Pana niepewność. Pana wstydliwość, gdy ktoś próbuje przejść niewidzialną granicę, którą sam pan wyznacza. Przyznaję, nigdy nie zabierałem głosu. Czekałem na rozkazy, nawet gdy przyjmowały formę delikatnej, choć stanowczej prośby. Może powinienem. Może mógłbym panu pomóc. Chcę, żeby pan wiedział. Były chwile, w których się z panem nie zgadzałem. Irytowały mnie różne sytuacje. A najbardziej to, że traktował mnie pan jak swojego Sancho Pansę. I ja jechałem za panem na swoim osiołku. Ani się odezwać, ani powiedzieć co myślę. Równy z panem jechałem, ale tak trochę z boku, w odległości pewnej, mimo to gotowy, zawsze gotowy. Co mogłem zrobić? Nikt mnie nie pytał o zdanie, bo niby dlaczego miał pytać. Prawdę mówiąc, to czasem mnie pan pytał, ale nie jestem pewien czy moje zdanie było dla pana ważne. Nie zauważyłem, żeby było. Inni przy panu rośli, dorastali, dostępowali. Proszę spojrzeć na mnie. Czy ja czegoś dostąpiłem, czy ja rosłem razem z panem? Ja razem z panem małałem. To znaczy pan rósł, ja małałem przy panu. A co inni myśleli o panu, tego się pan nigdy nie dowie. Co ja myślę? Przecież pan wie. Unikałem pochlebstw. Wolałem nic nie mówić. Wiedziałem, że pan nie lubi tych, co dużo mówią.

Znalazłem w końcu zdjęcie, o które pan prosił. Oprawione w ramkę, za szkłem. Leżało w piwnicy pod ster-

tą dokumentów. Jaki pan młody. Obaj byliśmy wtedy bardzo młodzi. Nie pomyliłem się, prawda? Chodzi o te dwie, czarne, skórzane rękawiczki? Mam nic nie mówić? Tak jest. Przecież całe życie milczałem. Mogę się w ogóle nie odzywać, jeśli pan chce. Bardzo proszę. Nauczył mnie pan milczeć i wykonywać rozkazy. Zналиśmy swoje miejsce, pan i ja. Pan to wielki Pan, a ja to mały ja. Obaj udawaliśmy, że ten feudalny porządek ma jakiś sens.

Wiem, to były prośby, najwyżej polecenia, nigdy rozkazy. Najwyższy czas, żeby pan zaczął ze mną rozmawiać. Jak z przyjacielem. Przecież nie ma ich pan znowu tak wielu. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że nie ma ich pan w ogóle. Nie nie generale, rodzina to nie to samo. Z rodziną można jeść śniadania, obiady, kolacje, można rozmawiać, jeździć na wczasy do Bułgarii, albo na Krym, można o nią dbać, ale to nie to samo co przyjaciel. Rodzinę się ma, przyjaciela kocha.

Uważa pan, że nie mam prawa. A panu kto dał prawo? Wciąż widzę, jak pan stoi w tych swoich szelkach, szybko przypina je do spodni, trochę nieporadnie poprawia koszulę. Jest późny wieczór, właściwie już prawie noc. Nie zdążył pan założyć butów, tylko te filcowe kaptcie na bose stopy, i czuje się pan całkiem nagi, zawstydzony swoją nagością. Przyszedł wtedy jeden z drugim, wie pan, o kim mówię, ten, co miał bardzo duże uszy i drugi, ten kawał chłopca, mówią o nim ambasador, do dziś tak mówią, chociaż już dawno żaden z niego ambasador, sam pan wie. Już bardzo późno było, a pan noce spędzał w Alejach Ujazdowskich. Oni zauważyli, że panu niezręcznie w kaptciach na bose stopy filcowych, więc tak chyłkiem, chyłkiem do drzwi. Niby coś mówią, ale

widzą, że pan zmieszany i bez skarpet. Nigdy pana nie widzieli bez skarpet, tak jak ja widywałem. A i w gaciach czasem. A i zdarzało mi się te gacie prać i prasować, jak pan całymi dniami był poza domem. Nie ma się czego wstydzić, generale. Gacie to gacie. Że niby co? Skąd to wszystko wiem, co pan czuł? A nie mam racji? Pan mnie nigdy nie doceniał, generale.

Problemy zaczęły nas przerastać, prawda? Wydawały się nam tak wielkie, że nawet lęk przed śmiercią został pomniejszony. Było tak, że patrzył pan na swoją broń jak na możliwe rozwiązanie. Brał pan ją do ręki, kładł na biurku, obchodził, obwąchiwał jak jakiś zwierzak. Jeszcze by tego brakowało, żeby ją pan pogłaskał, wymuskał, wypieścił, wycalował. Jak kobietę, jeśli pan wie, o czym mówię. No broni to pan się jednak nie bał, rozumiał pan broń. A i śmierci się pan nie bał wcale. Przecież widziałem. Pan czuł się osamotniony, opuszczony. Samotności się pan bał. Porażki się pan bał. Czuł, że przegrywa, a mimo wszystko nie umiał się przyznać do porażki.

Nie podobało mi się, jak pan przed nimi pochyła głowę. Wie pan, o kim mówię. Czy można było inaczej? Pan mnie teraz pyta, czy można było inaczej? Nie wiem. Pamięta pan rozmowę z premierem Messnerem? Chyba jedną z ostatnich rozmów. Siedzieliście po dwóch stronach biurka. Piliście kawę parzoną, dwie łyżeczki kawy, dwie łyżeczki cukru, czasem trzy na przebudzenie. Pan nerwowo palił papierosa. Właściwie odpalał jednego chesterfielda od drugiego, szybko się zaciągał i gasił, jakby palenie było wstydliwą czynnością. Trochę pan palił, jak dzieciak, który się boi, że zaraz nakryją go rodzice. Przyjdzie tatuś, powie: „Wojtusi, co ty robisz, tak przecie nie można, bądź odpowiedzialny, rzuć te papierosy,

nie kompromituj się, chłopcze, palenie jest dla gawie-
dzi”. Chesterfieldy kupowałem panu na Polnej, na tym
bazarze, na którym było wszystko, czego by sobie czło-
wiek nie wymyślił. Za pieniądze, których nikt nie miał,
to znaczy niektórzy mieli, racja, mieli. Ale ukrywali, że
mają. Raz dwa robili zakupy na bazarze i uciekali w oba-
wie, że ich ktoś rozpozna. A potem: co to za pieniądze,
dlaczego nie można tak normalnie w sklepie, przecież
każdy w sklepie, a nie na bazarze, a ten bazar właściwie
dla kogo, no wiadomo dla kogo, a jak wiadomo dla kogo,
to dialektycznie nie powinien istnieć, jednak istnieje i to
całkiem nieźle istnieje, chociaż udajemy, że go nie ma,
jak już jest, znaczy niech będzie, tylko niech się nie rzuca
w oczy, na wszelki wypadek akceptujemy banany, po-
marańcze, konserwy mięsne, z rybą konserwy, alkohol
na przykład, taki i inny, każdy, ale tak bardziej z boku,
bo nie może być alkoholu, a to przed trzynastą jeszcze,
dlaczego w ogóle przed trzynastą, a nie przed czternastą,
albo przed dwunastą chociażby, ustalamy prawa i zasa-
dy, a ktoś przychodzi, mówi, że whisky, jakie whisky,
jest każde whisky, proszę bardzo, nawet mięsko takie,
siakie, owakie, świeżutkie, czyste, pachnące świeżością,
papieroski może pan, pani sobie życzy, czekoladka ze
Szwajcarii, z Polski czekolada Wedla, proszę bardzo, za
złotówki, a jak ktoś chce nie za złotówki, to nawet lepiej,
nie musi być za złotówki, może być za pieniądze.

Pewnie pan nie wie, skąd każdego rana brała się na pana
biurku nowa paczka. Dopiero jak ktoś panu powiedział, ile
kosztuje paczka drogich, zagranicznych papierosów, i jak
sobie przeliczył, ile kosztuje jeden papieros, momental-
nie rzucił pan palenie. Ta pana oszczędność zawsze mnie

deprymowała. Szczerze mówiąc, widziałem w tym jakąś niekonsekwencję. Dodatek reprezentacyjny był w zasadzie funduszem otwartym, kupowano panu wszystko, czego pan potrzebował, nawet nie pytając, czego potrzebuje, wiadomo, że pan niczego nie potrzebował, jakby dawano suchy chleb, też byłoby dobrze. Suchy chleb z wodą. A papierosy pan rzucił, uznając, że są za drogie. Jakby tych parę groszy wydawanych dodatkowo rzeczywiście coś zmieniało. No właściwie zmieniało, bo nie miał pan już wyrzutów sumienia. Pańskie morale zostało pożywione, najadło się, i uspokojone trawiło.

Innym wystarczał alkohol, żeby nie myśleć, zapomnieć choćby na chwilę. Pan musiał być zawsze trzeźwy. Jak trzeba było, moczył pan usta. Całe picie. Kiedyś spróbował pan więcej, może dwa kieliszki i źle się pan poczuł, no przykro mi to mówić, ale do alkoholu to pan nie miał nigdy głowy. Ani serca, bo do alkoholu trzeba mieć przede wszystkim serce. Owszem, piwo, jedno, nigdy dwa, wino, czerwone, wytrawne, ale to przecież nie alkohol. Alkohol trzeba pić z uczuciem, smakować, zanim przestanie smakować. Wszyscy pili, tylko nie pan. Przez to niepicie był pan wywyższony, czy pan to wie? Musi być z niego jakiś inny człowiek, większy, inny w swojej wielkości, może zbyt inny i zbyt wielki, gdzie my do niego. Nie pije, znaczy zawsze trzeźwy. Trzeźwy, znaczy widzi wszystko, bo nigdy nie miał tych przyjemnych chwil zamknięcia umysłu, przecież dla nich pijemy, dla tej radości, uniesienia, chwilowego wprowadzenia, ale pozwalającego na zbliżenie człowieka z człowiekiem. Tak myśleli. Dziś już nikt tak nie pije jak wtedy. Dziś wszyscy piją głową, nie sercem.

Ja się przy panu nauczyłem nie pić. Oryginalność pana niepicia mogła być ważniejsza niż pan sam ze swoją drogą, powolnym, ale skutecznym docieraniem do idei, przyjęciem jej za swoją, chociaż bardzo nie pana była, dzieleniem się ideą jak jakąś komunią. Śmiem to stwierdzić, generale, zaczęto pana szanować, bo nie pił pan wódki. Może się pan z tego śmiać, może nie wierzyć, ale tak właśnie było. Z drugiej strony rozumiem. Kiedy pan widział, jak pana Kanię nie raz, nie dwa wynosili schlanego z KC, to odechciewało się panu alkoholu. Kręcił pan tylko głową, nie mieściło się w pana głowie, że tak można. Tak, oni nie pili, oni wszyscy chlali, z wyjątkiem kilku osób zapijali się do nieprzytomności. Olszowski, dajmy na to, tęga głowa, wielkie serce do alkoholu, inteligentny, jak pił, to już na umór. Uratowało go to, że się zakochał. W tej Zosi, co pracowała w ONZ, syna mu potem urodziła. Podobno, jak wyjechał do niej do Stanów, to przestał pić, bo nie miał za co. Największym skandalem nie było to, że Kanię trzeba było wynosić i schlanego odwozić do domu, ale że Olszowskiemu coś się pomieszało w głowie, zakochał się, wyjechał, chociaż miał przed sobą jeszcze kawał dobrej kariery. Pan nie mógł przede wszystkim zrozumieć tego, że taki mądry człowiek, nie zgadzał się pan z nim, on zawsze był dla pana zagrożeniem, ale jednak polityk z krwi i kości, rzuca wszystko, Polskę zostawia, nie interesuje go utrata pozycji, pieniędzy, chociaż pieniędzy to akurat mniej, bardziej wpływów, nie interesują go stanowiska. Wyjeżdża. Ma wszystko w dupie.

Mniejsza o to. W każdym razie drzwi były uchylone. Słyszałem, o czym rozmawiacie z premierem, siedzieli-

ście po przeciwnych stronach biurka. Nie mogłem uwie-
rzyć, że pan może zadać takie pytanie:

- Zbyszku, powiedz mi, co miałbym zrobić, żeby na-
ród nas pokochał?

I rozbawiony, a może poirytowany głos premiera:

- Pozwól mi wystąpić w głównym wydaniu dziennika
telewizyjnego i powiedzieć, że mamy w dupie Ruskich.

Nawet się pan nie zaśmiał. A ja stałem za drzwiami
i czekałem na pana reakcję. Nie było żadnej. Żeby cho-
ciaż jakaś mała refleksja. Jedno zdanie w stylu: „no tak, no
tak” albo: „wiesz Zbyszku, że to nie takie proste”, albo:
„mówisz jakbyś sobie nie zdawał sprawy z okoliczności”.
Tak naprawdę zaniepokoiła mnie naiwność tego pytania.
Jego absurdalność. Wierzył pan, że jest jakaś logiczna od-
powiedź. „Dobrze, gdy serce jest naiwne, a rozum nie”.
Pamięta pan, kto to powiedział? Brawo, generale, wiem,
że pan lubi cytaty. Zawsze pan miał jakiś pod ręką. Ale
nie, pan nie był naiwny. Pan sam siebie oszukiwał, że jest
jakiś proste, a zarazem racjonalne wyjście z tej gmatwa-
niny, w której razem żyliśmy. Pan i ja, przynoszący panu
kawę, herbatę, ja wyczuwający w lot zmiany pańskiego
nastroju, a on się zmieniał tak często, że chwilami trudno
było nadążyć, dlatego gdy przychodzili do pana, to wcho-
dząc pytali: jak generał, co generał, nastrój generała jaki,
czy aby nie zdenerwowany czymś lub kimś, bo jak tak to
przyjdę później. A gdy mówiono: generał, znaczy o panu
mówiono, jakby tylko jeden był w kraju generał. Nawet
w towarzystwie gdy ktoś używał tego słowa, to wszyscy
wiedzieli o kim mowa. Nie przypominam sobie, żeby ktoś
w rozmowie używał pana nazwiska, tylko ciągle generał
i generał. Sam pan ich tego nauczył. Generał jako forma

bezosobowa. Jaruzelski to osoba, generał to wprawdzie ta sama osoba, ale nazwisko jakoś ludziom nie przechodziło przez gardło. Dobrze, już pana nie męczę. Nie zależy mi na tym, żeby pan nagle, po tylu latach przyznawał rację.

Ale niech pan sam powie, kto pana zna tak, jak ja? Proszę mi wierzyć, ja naprawdę starałem się o pana dbać. Byłem panu wierny, tak jak wierny jest adiutant ryzykujący na polu bitwy razem ze swoim dowódcą. I teraz, kiedy grzebię się w notatkach, zdjęciach, rękopisach, książkach, kiedy krok po kroku odtwarzam życie bliskiego mi człowieka po to, by go lepiej zrozumieć, to trochę tak, jakbym sobie zadawał ból. Życie mi uciekło przy panu. Już nie da się nic zmienić, niczego odwrócić, wymazać i zacząć od początku. A nieraz by się chciało.

To przecież pana pomysł. Ja się do niego nie palę. Niepotrzebne mi to. Robię to dla pana. Chciałbym, żeby pan wiedział. Czy pan mnie słucha? Pan zawsze miał problemy z wyrażaniem uczuć. Myślę, że wie pan, o czym mówię. Czy pan mi w ogóle ufa, panie generale? Tak tak, rozmawialiśmy. Oczywiście. Ale jakie to rozmowy. Pan mówił, ja słuchałem. Nie mogłem zrozumieć dlaczego pan tak wszystko w sobie tłamsi, przeżywa, jak by to powiedzieć... indywidualnie przeżywa i tłamsi. Gdy człowiek coś z siebie wyrzuci, od razu mu lepiej, a pan nie, pan tak do środka, niby wyrzuca, a jednak tłamsi i skrywa. Tylko od czasu do czasu gaśnie światelko w głowie, bardzo rzadko tak bywało. No i wtedy dawało się stwierdzić, że jest pan człowiekiem, a nie pomnikiem człowieka.